

Wychodzi  
dwa razy  
na tydzień

# KORRESPONDENT

przy Gaze-  
cie War-  
szawskiej.

## HANDLOWY, PRZEMYSŁOWY I ROLNICZY.

DNIA 10 LUTEGO.

№ 11

ROK 1850.

### KALIFORNIA w OSTATNICH MIESIĄCACH 1849 roku.

Znajdujem się pod 35 stopniem północnej szerokości, spiesząc, gnani dość dobrym wiatrem, ku przemykowi wiodącemu w zatokę San-Francisco. Przyjemne są wrażenia dość żywego zimna, dla tego co się wyrwał z długiej męczarni trzyletniego pobytu pod ogniem zwrotnikowego słońca; to też wszyscy na pokładzie *Poursuivante* byli tego dnia w dobrym humorze. Głos kapitana, zazwyczaj tak gromkiemu, widocznie złagodniał. Majtkowie chętniej wykonywali dane rozkazy. Pasażerowie nawet, którym oddawna już brakuje przedmiotu do rozmowy, ocknęli się z letargu i prowadzą żywe rozprawy.

Bo też dotykamy najbardziej zajmującego, najtajniejszego punktu kuli ziemskiej. Bliscy jesteśmy rozwiązania dla siebie pytania, które od piętnastu miesięcy trząsa starym i nowym światem. Idzie o przekonanie się, czyli miny Kalifornji tak wystawiane, nie są tylko ogromną łapką, *pufem amerykańskim* dla ściągnięcia osadników i kapitałów do tej niezdrowej i niegościnnnej krainy, czyli są rzeczą dotykającą i prawdziwą.

W czasie przeprawy jedna rzecz mnie uderzyła, że w miarę zbliżania się do kresu naszej podróży zwiększały się wątpliwości co do Kalifornji. I tak, w Valparaiso, sprawdzono i przyjęto stanowczo że miny złote istnieją; ale wyobrażano sobie powszechnie, że kraj jest niezdrowym, że nie ma tam ani prawa ani rządu, i że prawie zawsze na tem się tam kończy, iż przypląca się życiem nieosobliwe zyski. W O-Taiti, które już tylko o czterdzieści dni drogi morzem oddzielone są od San Francisco, na wyspach Sandwich, jeszcze bliższym punkcie, widzieliśmy te same powątpiewania, toż niedowierzanie, też samą ciekawość. Wszyscy się tłoczyli skoro spostrzeżono jaki okręt płynący z nowego Eldorado, każdy chętnie słuchał nowych powieści, a jednakże nikt nie mógł ułożyć sobie jasnego pojęcia o prawdziwym stanie rzeczy.

Jesteśmy jeszcze o jakie trzydzieści mil od brzegu, a już poznać można, liczbę i rozmaitości flag krających i krzyżujących się koło nas, sąsiedztwo wielkiego czynności ogniska. Po lewej ręce, widzimy na horyzoncie trzymostowy okręt fraucuski, który długą przeprawę jednocześnie z nami ukończy; na prawo widzimy statek angielski z Shanghai, wiozący na pokładzie całą osadę chińczyków. Wyraźnie rozpoznajemy blade czoła, regularnie cięte, krzepkie postawy tych mieszkańców Niebieskiego Państwa, bo cisną się koło barjerek żeby się nam przypatrzeć i podziwiać ziejące paszcze dział naszej fregaty. Bliżej nas ryjuje się kilka statków z Chili, witających nas wywiezieniem flagi. Pomiedzy pasażerami na ich pokładach dostrzegamy niejedną *signorita*, które wydają podziwu okrzyki, kiedy *Poursuivante* majestatycznie przepływa koło ich statku. Niestety, ileż to serc teraz drgających roskoszą i nadzieją przed nami, ileż ich bić przestanie, z odczarowania i smutku, nim dobiegną końca przygód na które się puszcza.

Nagle wiatr upada, a to zmusza nas stanąć nad wieczorem niedaleko Farralones, dwóch rozdartych wysepek, które jak ów smok bajeczny, stoją niby na straży przed ogrodem tych nowych Hesperyd. Tak mimowolnie zatrzymani, przypatrujemy się manewrom kilku towarzystw wielorybów, które się koło nas uwijają. Zdaje się jakoby natura rozporządziła aby wszystko osobliwą miało cechę w Kalifornji; tak i te zwierzęta różnią się od innych członków wielkiej rodziny do której należą. Gdzie indziej, trzy razy tak wielkie wieloryby przebiegając się dają harponem i zabierają, bez wielkiego oporu, trzem lub czterem rybakom, na wąż pływającym łodzi, którą jednym zamachem ogona mogłyby w drzazgi pokruszyć. Wieloryb Kalifornijski nie jest bynajmniej tak łagodnego temperamentu: skoro postrzeże łodzi, śmiało zwraca się ku nim i rozgania lub zatapia je. Zdziwieni i zatrwożeni odwaga tak niezwykłą, łowcy wieloryby wnet porzucili swoje zamiary, i dali pokój tym mieszkańcom morza, opuścili pole bitwy tak groźnemu nieprzyjacielowi. Dla tego też ród wielorybi mnoży się na wybrzeżach Kalifornji, gdy tymczasem szczupleje tam gdzie nie stawia oporu. Dziś wieloryby cofnęły się na dalekie morza Japonji i Ochotska, a nawet i w tych niebardzo dostępnych wodach, nie zawsze znajdują schronienie przed zuchwałymi prześladowcami. Czyliż z tego przykładu nie wypływa nauka, jak z tylu innych, które nam przedstawia zwierzęce królestwo? Przenosić wojnę w kraj nieprzyjacielski, uprzedzać tego co chce na nas uderzyć, oto najpewniejszy środek ocalenia, tak dla narodów jak dla indywidualów.

Wjazd do portu San Francisco, podobny jest bardzo do Brestu. Dość jest wązki, a zatem twierdze, które wzniesić mają po każdej jego stronie, mogą krzyżowym ogniem ostrzeliwać cały i bronić wstępu; tyle zaś ma wody że największe okręty płynąć nim mogą. Przybywszy przed ten lejek czyli szyję, podróżny widzi roztoczone przed sobą nie jezioro albo port, ale istne morze Śródziemne w małym rozmiarze. W porcie San Francisco łatwo pomieściłyby się mogły wszystkie floty świata. Drogi to klejnot dla „sasiada Jonathana”, i dziwić się trzeba, że takie stanowisko tak długo było niezajęte. Wysepka w środku zatoki leżąca nie daleko od szczy, widocznie ma służyć na założenie baterji: będzie to nowy żywioł siły i bezpieczeństwa dla portu już tyle ich posiadającego.

*Herba Buena*, inaczej *San Francisco* leży na prawo, od wjazdu na zatokę, trochę poza dawną hiszpańską warownią. Dziś miasto to liczy przeszło pięćdziesiąt tysięcy dusz, i zapewne w krótkim czasie stanie się stolicą Spokojnego Oceanu. Lasy masztów, ciągnące się jak okiem zasięgnie do koła, przypominają Havre i Marsylję. W tej chwili przeszło czterysta pięćdziesiąt statków kupieckich stoi pod miastem, nie licząc także bardzo znacznej liczby brygów i goełot. Ze wszystkich bez wyjątku osady zbiegły, a z wielu bardzo umknęli nawet i kapitanowie. Korweta amerykańska, nad którą powiewa flaga Kommodora Jones, sama jedna tylko czuwa nad zachowaniem tej olbrzymiej masy wartości.

Wysiadamy na ląd bez trudności, na dorywco zbudowaną tamę u stóp dawniej twierdzy. Nie ma tu celników, przetrząsających kieszenie, kufry i paki. Akcyza, kółko utrudniające wszystko, które

znikać zaczyna wszędzie, gdzie lepiej interes własny pojmują, zupełnie jest nieznaną u Amerykanów. U nich czas ma tyle wartości co towar, a wszystko co ich pozbawia cząstki jego bez istotnej potrzeby, uważają za naruszenie praw przyrodzonych człowiekowi.

W San Francisco, gdzie przed półtora rokiem, było tylko kilkanaście nędznych chałup, dziś znajduje się giełda, teatr, kościoły wszystkich wyznań chrześcijańskich i dość znaczna liczba pięknych domów. Niektóre pobudowane z kamienia, ale większa część drewnianych. Fronty domów albo pobielane albo malowane olejno; ulice proste, a całość dość efektowa. Po obu stronach miasta, nad wybrzeżem, ciągną się szeregi namiotów daleko, szeroko, i stanowią nowe miasto, dość oryginalne z wejrzenia. Tam wypoczywają chwilowo, nim się zapuszczą do kopalni, wychodzący z obu światów, jakoteż Chińczycy i Malajczycy, i cała ludność, która jak mrowie rozmnożyła się po wyspach Oceanji, a której punktem wyjścia było Botany Bay. Znajduje się tam dawny minister sprawiedliwości króla Kamehameha, dziś najgroźniejszy rozbójnik w Kalifornji, ten sam co napisał ów sławny kodeks praw, przez biblijne towarzystwa Anglii i Stanów Zjednoczonych uznany za arcytwór ludzkiej mądrości. Gromadzą się tam mordercy i ojcobójcy, złodzieje i zbójcy, których dotąd jeszcze nie dotknęła ręka sprawiedliwości Boskiej. Komedja i drama, mianowicie zaś ostatnia znalazłyby tam mnogie dla siebie źródła. Niepodobne do wiary zdarzenia i awantury, o jakich nie marzyła nigdy najbujniejsza nawet imaginacja naszych romansopisarzy, czekają tam jeszcze na historyka.

Miasto San Francisco podobne już jest do olbrzymiego ula z wiecznym brzęczeniem. Pojazdy, wozy, wagony, krążą bez ustanku, krzyżują się, potracają na wszystkie strony. Żałuję filozofa, marzyciela, który zabłąkał się na ulice San Francisco, bo na każdym kroku może być roztratowany, kiedy chodzi w zamyśleniu, a nikt nie zawoła: *Strzeż się!* Ogromne draby, silno i kościsto zbudowane, w kapeluszach naksztaft głowy cukru, biją i pędzą zaprzęgi, bez najmniejszej uwagi na pieszych. Po każdej stronie ulicy krążą tłumy milczące i zafrasowane, spiesznym pomykające krokiem, czy to na komorę, nie zgrabnie rozlegającą się w głębi miasta, albo na giełdę, wznoszącą się między dwoma domami gry, a przed którą stoją ciągle gromadki cherwych spekulantów.

Wszystkie narody kuli ziemskiej są tam szeroko reprezentowane w handlu San Francisco, ale jak łatwo odgadnąć, żywioł amerykański przemaga. Prawodawstwo amerykańskie pozwala każdemu osiedlać się i zarabiać jak sam najlepiej uznaje. Każdy więc jest meklerem, składnikiem, bankierem, wexlarzem, komornikiem, wielu nawet odrazu trudni się wszystkimi temi zawodami. Niewiem czyli kupiec z Hawru, wysyłający towary za konsygnacją do San Francisco, świetnie robi interesa; ale to pewna że na skład je odbierający bynajmniej się nie rujnuje. Procent i rozmaite koszta, z tytułu meklerskiego, zmiany, składowego, opakowania i kosztów różnych, zbudowałyby niepomatu spółbraci kupców na naszych targach europejskich. Bez przesady oceniać można ogół tych straceń na 50 za 100 od czystej wartości przy każdej sprzedaży. Przyznać także należy, że składnik w San Francisco ma również ogromne ciężary do znośnienia. I tak, oprócz niezmierniej drogocności życia materialnego, w kraju gdzie za jajko płaci się po 5 franków, a kartofel po 3 franki, komorne zaś opłaca się od 150,000 do 300,000 franków rocznie. Dość jest tam domów takich, które właścicielom przynoszą do 800,000 franków rocznie.

(d. c. n.)

#### Osada rolnicza dla sierot i podrzutków w mieście St. Firmin.

(z Roczn. Gosp. Krajowego).

U stóp wzgórza na którym jest stacja pocztowa, między Breteuil a Montidier, przy drodze koło kolei żelaznej podróżny udający się do Amiens, spostrzega na lewo uderzający swą prostotą zakład osady rolniczej dla sierot. Najprzód widać główny korpus gmachu rozległego, zakończony z każdej strony występującym skrzydłem; dalej wie-

le budynków, jakoto: stajnie, owczarnie, różne warsztaty i t. p.; cały zakład otoczony ogrodami owocowymi, warzywnymi, i gruntami na których widać umiejętną i przezorną uprawę. Dzieci w ubiorach wiejskich, czystych, jednakowych, są rolnikami tych cichych pól, pod kierunkiem ludzi, w których spostrzega się odrazu duch religijny i wielka łagodność; gdyby nie krzyż zdobiący ich piersi, sądziłby można że to poczciwi rolnicy z własnymi dziećmi uprawiają własną rolę; lecz ci ludzie, pracujący z takim poświęceniem, są to bracia agromomwie Sw. Wincentego a Paulo, a młodzi rolnicy są osadnikami z Mesnil St. Firmin, po większej części podrzutki, sieroty bez przytułku, od urodzenia na nędzę skazane.

Pan Bazin, człowiek pełen energii i rozsądku, właściciel jednej z najlepszych i obszerniejszych posiadłości rolniczych we Francji, wzruszony niedolą sierot i podrzutków, zamierzył udzielić stosownie do swej możności pomoc tym nieszczęśliwym, i w tym celu urządził zakład, którego szybki postęp w krótkim rysie podajemy.

W Mesnil St. Firmin, towarzystwo mogło od razu uścić swe dobroczynne zamiary; gdyż na to, potrzeba tylko było na większą skalę rozproszycie mądry plan p. Bazin, już pomyslnym skutkiem uwieńczony.

Stowarzyszenie dobroczynne, zawiązane w Paryżu w roku 1843, pod opieką najzaszczytniej znanych imion, w celu udzielania pomocy podrzutkom i sierotom, postanowiło urządzić w różnych punktach Francji, osady rolnicze, w których dzieci jedynie usposobiane do prac wiejskich, mogłyby zarazem mieć kształcenie moralne, religijne i nauki początkowe do stanu ich zastosowane; przedewszystkiem jednak trzeba było urządzić blisko Paryża osadę dla wzoru i próby.

Rada zarządzająca wiedziała, iż jest rzeczą nader trudną i ważną urządzić zakład zupełnie nieznaną. Obawiając się, chwalebne zapewne, ale często w dalszych skutkach szkodliwego pośpiechu, postanowiła czekać cierpliwie korzystnej sposobności. Wiele projektów podawanych, po rozważnym rozbiórze, odrzucone zostały; wreszcie, rada porozumiała się z p. Bazin, który już wyprzedził jęj usiłowania.

Pan Bazin zważywszy, iż wchodząc w stosunki z towarzystwem opiekuńcym paryżkiem, zapewni dziełu swemu upragnione rozwinięcie, zażądał jego współdziałania. Towarzystwo zaś oceniło jakie może odnieść korzyści z ofiary p. Bazin, który oddawał pod zarząd nie tylko swe doświadczenie w tym przedmiocie, budynki, materjały, zakład uporządkowany, ale nadto, osoby już pod biegłym kierunkiem obeznane z praktyką wychowania dzieci, i nawykłe do życia pracowitego.

Wysłano członków towarzystwa, aby na miejscu ocenili stan zakładu, a w skutku ich zdania, przyjęto ofiarę p. Bazin. Jednakże powodowana roztropną przezornością, rada zarządzająca, doświadczeniem przekonana się chciała o istotnych pożytkach zakładu; przeto nie zawiązała stanowczego stowarzyszenia, zażądała tylko, aby przyjęto za opłatą, w zakładzie Mesnil St. Firmin, pewną liczbę dzieci zostających pod opieką towarzystwa. Umieszczenie tychże uskuteczniło w przeciągu dwóch lat, a w ciągu tego czasu pilne czuwanie, nieustanna bacność towarzystwa nad osadą, przekonali, że zakład ten, przez swe urządzenie, wychowanie jakie w nim dzieci odbierały, przez poświęcenie się osób wyłącznie temu oddanych, zwłaszcza poświęcenie umiejętnego zarządy zakładu, księdza Cauille, odpowiadało zupełnie zamierzonemu celowi, i od 1 lipca 1845 roku, towarzystwo opiekuńcze paryżkie, wzięło zupełnie nadzór nad osadą rolniczą w Mesnil St. Firmin.

Przedewszystkiem powiedzmy kilka słów o osobach składających tę osadę. Ktokolwiekbydz zajmował się zakładem podobnym jak osada w Mesnil St. Firmin, wie, iż główną trudnością jest wybór osób dozorujących, bo wiele potrzeba przymiotów do wypełnienia trudnych obowiązków, a wynagrodzenie zbyt małe. Gdyby nawet kilka osób poświęciło się na usługi tego zakładu, czyż mogłyby wystarczyć potrzebom wzrastającym co chwila? Religja jedynie natchnąć może taką bezinteresownością, i dostarczyć żywiołów ku utrwalaniu dobroczynnych pomysłów przemijających ludzi. P. Bazin i osoby zajmujące się utworzeniem tej osady, przekonani też byli, że jedynie uczucie

religijne ożywić i utrzymać może ich dzieło; że potrzeba stowarzyszeniem nieustannie odnawiającem się zastąpić istnienie szczegółowych poświęceń. Sądziłi zarazem, że stowarzyszenie, przeznaczone do rozwinięcia ówczesnego przedsięwzięcia, stosować się powinno do tegoczesnych wyobrażeń. Nie zaprzeczając zalet wielu już istniejących stowarzyszeń, osądziłi iż w tej mierze lepsze będzie stowarzyszenie nowe, które w duchu religijnym, przez czynną pracę, dążyć będzie do osiągnięcia zamierzonego celu.

Te są główne cechy zgromadzenia braci agronomów Sw. Wincentego a Paulo, do rozwinięcia którego, towarzystwo opiekuńcze parzyknie czynnie wpływało. Zgromadzenie to religijne, ale złożone z ludzi świeckich, powinno kształcić i dostarczać rządców i nadzorców do osad rolniczych sierot i podrzutków. Prócz innych zalet, pracownicy są bardzo bracia agronomowie Sw. Wincentego a Paulo; ubiór ich jest jak zwyczajny przy pracy, a jeżeli się od pospolitych rolników odznaczają, to tylko wyrzeczeniem się osobistych widoków, poświęceniem dla dobra ogółu, jako też wewnętrznem uczuciem boskiej nagrody, podwajającej ich siły, i napełniającej serca ich niewyčerpaną dobrocią.

Osada towarzystwa opiekuńczego, położoną jest jakieśmy wyżej wspomnieli, przy Breteuil, obwodzie Clermont, o dziesięć myriametrów od Paryża, częścią w gminie Rouvroy, w miejscu nazwanem Merles, częścią w gminie Mesnil St. Firmin. Różnymi prawami posiada gruntu 335 hektarów. Merles uważać potrzeba za stolicę kolonii; tam mieszka dyrektor (zawiaadowca) wraz z pierwiastkowym zakładem braci nadzorców, bez których nie istniałyby podobne osady. Dziś jest ich dwunastu, chociaż poświęcenie jest jednakowe wszystkich, chociaż wszyscy mają równe prawo do szacunku i wdzięczności towarzystwa. O jednym z nich wszakże (bo wiek jego podeszły do tego nas upoważnia), wspomnimy oddzielnie; tym jest p. Prevost starzec z wielkiem doświadczeniem, oteczoney czcią swoich współbraci, a uważany za Nestora rolniczej osady.

Raz jeszcze powtórzyć tu wypada, że dzieci w tym zakładzie odbierają wychowanie rolnicze w całym znaczeniu tego wyrazu. Wraz z dozorcami uprawiają rolę, sieją, żną, młócą, chodzą około bydła, koni, posługują w mleczarni i t. p., słowem stosownie do wieku, sił i zdatności, do wszelkich wewnętrznych i zewnętrznych posług folwarcznych są używane.

W Merles liczą dziś dzieci około osmdziesiąt. Dla ważnych względów oddział małych dzieci, i zatrudnienia, mogące być tylko kobietom powierzzone, zostały urządzone niedaleko Merles, w posiadłości Mesnil St. Firmin, na folwarku, gdzie p. Bazin pomysł swój filantropijny rozpoczął; główny zakład Mesnil St. Firmin, jest na głównym folwarku téjże posiadłości.

Nie chcemy zbyt chwalić, jednak jeszcze nadmienić wypada, że zakład p. Bazin, przedstawia najdokładniejszą całość wynalazków i urządzeń rolniczo-gospodarskich, jakeimi Francja szczycić się może.

Prócz najdoskonalszej uprawy roli, posiada wszelkie zakłady przemysłu gospodarstwa wiejskiego, jakoto: cegielnię, cukrownię, młockarnię, gorzelnię, browar, olejarnię, octownię, kuźnię, warsztat kołodziejski.

Te zakłady otwarte młodym kolonistom, służą do udoskonalenia ich w wiadomościach gospodarskich, aby opuszczając osadę mogli być zdatnymi rządcami lub posługaczami folwarcznymi.

Przez istnienie równoczesne zakładów w Merles i Mesnil St. Firmin, towarzystwo nabywa podwójne doświadczenie również ważne. W Merles kierują pracą na własną korzyść, jako właściciel i dzierżawca; w Mesnil dzieci pracują dla pana Bazin, jako płatni robotnicy. W Merles rozstrzygnięciem będzie zadanie, czy zgromadzenie rolnicze utrzyma się samo przez siebie? a w Mesnil okaże się ile dzieci, jako robotnicy, zarobią własną pracą.

Zabudowania w Mesnil St. Firmin, pomieścić mogą obecnie 50 dzieci, a później aż na 120 wystarczą. Podzielone są: na salę przeznaczoną na klasę, na sypialnię, pralnię, blicharnię, piekarnię, roz-

maite warsztaty, mieszkanie dla kobiet i szpital. Równie w Mesnil jak w Merles, dozór nad dziećmi, wyłącznie oddany braciom agronomom Sw. Wincentego a Paulo; zaś dozór nad małemi dziećmi, pralnią, bielizną i szpitalem, powierzony siostrze Sw. Józef, które świętą odwagą nie wachały się dojsć aż do Manach (w Gujannie), dla rozszerzenia wiary i miłości chrześcijańskiej, a usługują w kilku zakładach z gorliwością i poświęceniem wyższem nad wszelkie pochwały.

W zakładzie Mesnil St. Firmin przyjmują dzieci od lat 5 do 16; większa część teraz tam będących, mają lat 8 do 15, a z tych 20 nie mają lat siedmiu. W skutek układu z radą zarządzającą, dzieci zostają w zakładzie (instytucie) aż do pełnoletności. Odkładają część zarobku ich dziennego, a uzbieraną sumę oddają im przy wyjściu z instytutu. Pierwej jednak jeżeli się znajdzie sposobność umieszczenia ich zyskownie, osada uwalnia ich chętnie, zawierając dla nich najkorzystniejsze umowy.

Młodzi koloniści, wychowani są jak dzieci prostych wieśniaków, mają w zimie suknie z grubego sukna, a w innej porze bluzy wygodne, twarde obuwie. Pokarm mają prosty, ale zdrowy i obfity; dają im mięso cztery razy w tydzień, a w inne dniże, jarzynę, sałatę i owoce, stosownie do pory. Nawet najmłodszy usługują sobie sami, ścielą swe łóżka, zamiatają, czyszczą suknie.

Rozdzieleni są na oddziały, zawierające po 25 dzieci; każdy oddział ma dwóch dozorców z pomiędzy nich wybranych. Ci czuwają, aby dzieci z oddziału czysto utrzymywali swe suknie i nie zaniedbywali porządku tyle potrzebnego dla zdrowia i dobrego bytu. Władza udzielona tym młodym dozorcóm, i przydane do niej małe przywileje (prerogatywy), wzbudzają i utrzymują w dzieciach szlachetne współzawodnictwo. W każdym razie dzieci doznają ojcowskiej opieki. Gdy idą cokolwiek dalej na robotę, dają im prosty lekki wóz, a w nim żywność dzienną i namiot; mogą się więc w chwilach odpoczynku przed burzą i upałem wygodnie schronić. Ktokolwiek miał sposobność zwiedzenia tego dobroczynnego zakładu, spostrzegł z pewnością z zadowoleniem zdrowie i swobodę jaśniejącą na świeżych choć opalonych twarzyczkach uczniów. Zdrowie i swobodę taką napotykamy zwykle tylko w domowym zaciszu, w rodzinach zgodnych i kochających się. Osada w Mesnil St. Firmin jest rzeczywiście jak by jedną rodziną, bo te dzieci biedne, i opuszczone, od urodzenia skazane na niedolę, znalazłszy rodziców pobłażających, przywiązanych, doznały pieczołowitości i troskliwości rodzicielskiej. Od chwili jak zostają pod ich opieką, dobre tylko przykłady mają przed oczyma. Odbierają prócz nauk praktycznych, które ich uczynią ludźmi użytecznymi, zasady cnót i poczciwości, tak łatwe do wrazenia w młode umysły.

Towarzystwo opiekuńcze wiele już uczyniło przy wytrwałości jaką się odznacza. Los podrzutków płci męskiej będzie zapewniłny w całej Francji. Pozostaje mu jeszcze zabezpieczyć los dziewcząt, nieszczęśliwych istot, których sieroctwo i nędza zbyt często prowadzi do hańby, a od hańby do zbrodni.

Życzyłoby należało aby wiadomość o tym zakładzie doszła do wiadomości godnych członków rady opiekuńczej, zawiadującej instytutem moralnie zepsutych dzieci.

E. M.

Numer 1 Tomu XVI. *Roczników Gospodarstwa Krajowego* wyszedł z druku i zawiera w sobie:

A. *Rozprawy, Opisy i Rozbiory.* Opis gospodarstwa w do-  
brach Konstantynów, w powiecie Bialskim gubernji Lubelskiej po-  
łożonych; przez *Jana Wernera* b. ucznia Instytutu Gosp. Wiejs. i Le-  
śnictwa w Marymoncie.

Sadzenie ziarna, gracowanie, udeptywanie roli, uprawa roślin  
w ciągu ich wzrostu, żniwo, zwózka zboża, młócka, czyszczenie i wia-  
nie, polepszenie gatunku zboża i mąki, przechowywanie ziarna i mąki,

